

Tak się więc sprawy mają. Zło, jakie nas spotyka, jest niemal zawsze zapośredniczone — mówiąc językiem Gombrowicza — przez formę socjalną, w jakiej uczestniczymy. Mechanizmy konkurencji wewnątrz formy sprawiają, iż zło takie staje się okazją do walki z rywalem i większość bliźnich korzysta z tej okazji bez cienia żenady, a niektórzy zgola z godną lepszych spraw gorliwością. Bywa nawet, iż prawdziwie dotkliwie zło, jakie nas spotyka, rodzi się dopiero w formie socjalnej, w jakiej tkwimy, że to ona sama kąsa nas i miażdży dopóki nie wypłuje nas całkowicie. Otóż dopiero uświadomienie sobie tego pozwala docenić socjalną wagę normy, nakazującej życzliwość wobec bliźniego.

Ludzie nie muszą — a niekiedy nawet (jeśli kieruje nimi poczucie wyższości moralnej, przejawiające się w skłonności do narzucania normalnemu człowiekowi własnego pojmowania jego dobra) zgola nie powinni za bardzo troszczyć się (behawioralnie) o innych. Zawsze jednak — w warunkach normalnych — winni żywić postawę życzliwości wobec innych ludzi (włącznie z tymi nieżyczliwymi wobec nich samych), okazywać im ją i nie wzdragać się przed manifestowaniem jej wobec osób trzecich. Nie dlatego, że w jakichś tekstach, np. w *Ewangeliiach*, tak zapisano (choć dobrze, że to zapisano uświadamiając nam nasze niewyraźne intuicje moralne). I nie dlatego, że są instytucje, które to powtarzają (choć dobrze, iż to czynią, aczkolwiek z przestrzeganiem tych zaleceń przez Kościoły bywało, i bywa, różnie). Dlatego, że postępując tak ludzie umniejszają zło, jakie człowieka spotyka ze strony jego wrogów skłonnych do wykorzystania okazji, by dodatkowo mu „dołożyć”. Tych nigdy nie zbraknie dopóki warunki życia przeciwstawiać będą nas innym ludziom. A więc, być może, nigdy. Jednak nie ma powodu, by poniechać czynienia tego, co się da zrobić. Da się pobudzić w sobie życzliwość dla bliźnich i można ją publicznie okazać. To niełatwe, bo zwykle wymaga przeciwstawienia się otoczeniu społecznemu. Ale to wcale nie ma — dla tych, do których się zwracamy.

Marian Przełęcki

Miłość bez zniewolenia

Raz jeszcze zabieram głos w tej dyskusji, ponieważ porusza ona sprawy, które wydają mi się warte dalszych wyjaśnień. Postawione w niej zostało pytanie, na czym ma polegać ewangeliczna miłość bliźniego — w tym również miłość nieprzyjaciół — rozumiana zgodnie z naszymi poczuciami moralnymi (a nie z takim czy innym uświęconym tekstem). Odpowiedź, którą sugerowałem w swych uwagach, Leszek Nowak poddaje zasadniczej krytyce, przeciwstawiając jej własną propozycję, która stanowi pewną modyfikację jego propozycji pierwotnej. Główny zarzut wobec koncepcji miłości bliźniego pojętej jako tros-

ka o jego dobro „właściwie rozumiane” (tj. rozumiane „wedle naszego najlepszego rozeznania”) polega na tym, iż miłość taka jest próbą narzucenia drugiemu naszej własnej koncepcji dobra, a więc próbą jego zniewolenia, odrzucenia jego moralnej autonomii.

U podstaw tej różnicy zdań zdają się leżeć różne koncepcje poznania moralnego. Ja wierzę w to, że istnieje coś takiego, jak moralna prawda, i że do tej prawdy w zasadzie każdy z nas ma poznawczy dostęp — jakkolwiek ograniczony i niedoskonały. A skoro tak, to istnieje możliwość przekonywania innych o prawdziwości naszych moralnych sądów — podawania dla nich racji, odwołujących się ostatecznie do pewnych elementarnych przeżyć wartości (takich np. jakich doznajemy stając oko w oko z konkretnym aktem okrucieństwa). Otóż, w moim głębokim przekonaniu, taki sposób wpływania na czyjąś świadomość moralną nie jest narzucaniem mu własnej koncepcji moralnej. Nie musi więc naruszać jego moralnej autonomii, być próbą jego zniewolenia. Jeśli ktoś zmienia swe postępowanie dlatego, że w wyniku naszej argumentacji zrozumiał, iż postępował źle, nie traci przez to swej moralnej autonomii.

Poznaniu moralnemu, które takie stanowisko zakłada, Leszek Nowak przypisuje jednak cechy szczególne. Ma to być rygorystycznie rozumiana wiedza o absolutnych wartościach, dająca do tych wartości niekwestionowalny przystęp, odznaczająca się nieomyślnością i całkowitą pewnością. Stąd ma wynikać poczucie wyższości moralnej tych, co sobie taką wiedzę przypisują, a w konsekwencji — zaciekłość moralna, skłonność do potępienia bliźnich, odsądzania ich od czci i wiary w materiach moralnych. Nic dziwnego, że postawy takiej nie jest skłonny aprobować. Nie aprobuję jej, rzecz jasna, i ja. Najdalszy jestem od przypisywania poznaniu moralnemu takich cech i wyciągania z faktu jego istnienia takich konsekwencji. Uważam (jak zaznaczałem), że nasze sądy moralne dalekie są od jasności i pewności. Niełatwo przekazać je innym i niełatwo przekonać innych o ich prawdziwości. Mimo ich niedoskonałości nic innego nam jednak nie pozostaje: to naszymi sądami moralnymi musimy kierować się w ocenie własnych i cudzych postępów. I nieustannie to czynimy. Od ocen i norm moralnych nie stroni przecież i Leszek Nowak w swych wypowiedziach.

Odwołując się do naszych sądów moralnych, powinniśmy to czynić z pełną świadomością ich poznawczego statusu — bez poczucia nieuzasadnionej pewności, bez lekceważenia odmiennego punktu widzenia. Mam jednak przekonanie, że te prawdy moralne, które udało się nam — jakkolwiek niejasno i niepewnie — dostrzec, powinniśmy próbować ukazać jakoś naszym przeciwnikom. Istotne z moralnego punktu widzenia jest to, aby nie uciekać się przy tym do jakiegokolwiek formy psychicznej przemocy — presji, manipulacji czy podstępów. Mamy prawo powoływać się jedynie na to, co może świadczyć o prawdziwości naszego moralnego stanowiska. Specyficznie „ewangelicznym” rodzajem odpowiedzi na wyrządzaną przez nieprzyjaciela krzywdę jest akt ofiary — akt

samopoświęcenia, mający uprzytomnić krzywdzicielowi moralne zło jego postępowania.

Nie zawsze zresztą w takich sytuacjach mamy do czynienia z konfliktem różnych poczuć moralnych. Dobro bliźniego, o którym tu mowa, nie ogranicza się do dobra moralnego; to raczej wszystko to, co dany człowiek ceni, czego chce, do czego dąży. Może więc chcieć czegoś, o czym sam wie, że jest moralnie złe. Przecistawiając się temu dla jego moralnego dobra, nie kwestionujemy przez to jego moralnej świadomości, nie naruszamy jego moralnej autonomii.

Wzorcem tak pojętej miłości bliźniego nie jest, wbrew sugestii Leszka Nowaka, nasze postępowanie wobec dziecka; jest nim raczej nasz stosunek do przyjaciela. Jeśli sądzimy, iż nasz przyjaciel postępuje moralnie źle, że wyrządza komuś krzywdę, nie potępiamy go, nie gardzimy nim, ale nie godzimy się z jego postępowaniem; ubolewamy nad nim i staramy się go od niego odwieść, przekonując go o jego niewłaściwości. Nie widzę w tym zachowaniu niczego, co by stanowiło odrzucenie jego moralnej autonomii¹.

W swej wypowiedzi dyskusyjnej Leszek Nowak podaje własną interpretację tego, do czego nasza życzliwość wobec bliźniego, zwłaszcza nieprzyjaciela, miałaby się sprowadzać. Chcę wyraźnie stwierdzić, że w pełni akceptuję wszystkie elementy tak określonej postawy moralnej. Dotyczy to w szczególności postulatów „współrozumienia” naszego przeciwnika; w swych uwagach postulat taki sam wyraźnie sformułowałem. Sądzę, że owe elementy „życzliwości” wobec bliźniego, o których mówi autor, to pewne składniki czy konsekwencje tej „miłości” bliźniego, za którą ja się opowiadam. W moim poczuciu jednak miłość ta obejmuje coś więcej, co sprawia, iż ma walor uniwersalny, wolny od wszelkich ograniczeń. Leszek Nowak rolę taką skłonny jest powierzać prawodawstwu raczej niż moralistyce. Choć w jakimś zakresie jest to nieuniknione, nie sposób zaprzeczyć, że w przeciwieństwie do moralisty prawodawca właśnie jest tym, który usiłuje nas zmusić, a nie przekonać, do właściwego moralnie postępowania.

Zapytajmy na koniec, czy proponowana przeze mnie interpretacja „miłości nieprzyjaciół” odpowiada istotnie wskazaniom etyki ewangelicznej. Wezwanie, które nakazuje nam „nadstawić drugi policzek temu, kto nas uderzył”, zdaje się

¹ Mam wrażenie, że do tak ostrej krytyki proponowanej przeze mnie interpretacji etyki ewangelicznej dały asumpt pewne „prowokacyjne” sformułowania, które miały możliwie dobitnie wyrazić swoistość mojego punktu widzenia. Należy do nich w szczególności ustęp, w którym usprawiedliwiałem „uszcześliwianie kogoś wbrew jego woli”, twierdząc, że „są sytuacje, w których mamy wszelkie dane, aby sądzić, że lepiej od naszego nieprzyjaciela wiemy, na czym polega jego prawdziwe dobro”. Otóż w obronie tego powiedzenia chciałbym zauważyć, że jako zdanie egzystencjalne jest to twierdzenie bardzo słabe, a pojęcie wiedzy, które w nim występuje, to luźne i szerokie pojęcie potoczne; zgodnie z nim, ktoś, kto „wie lepiej”, nie musi wcale „wiedzieć na pewno”. Mówiąc zaś o „uszcześliwianiu kogoś wbrew jego woli”, miałem oczywiście na myśli jego wolę „zastaną”, a nie tę, którą mamy nadzieję w nim wzbudzić naszą moralną argumentacją.

wykluczać wszelkie przeciwdziałanie wyrządzonej krzywdzie. Jest to jednak, podobnie jak i inne wypowiedzi ewangeliczne, pewna obrazowa hiperbola, która nie może być rozumiana dosłownie. Jej właściwą wykładnię nasuwa zachowanie Jezusa wobec sługi arcykapłana, który go spoliczkował. „Nie stawiając oporu złemu”, nie uciekając się do żadnej formy przemocy czy potępienia, zwraca się jednak Jezus do sprawcy ze słowami wyrzutu, mającego uprzytomnić mu niewłaściwość jego postępuku: „Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego mnie bijesz?” Nie sądzę, aby można było powiedzieć, że narusza tym moralną autonomię sprawcy. Myślę, że właściwie rozumiana miłość nieprzyjaciela taki sposób przeciwdziałania wyrządzonej krzywdzie nie tylko toleruje, ale wyraźnie go postuluje.